

Zgiełk!

Lotos Jazz Festival – Bielska Zadymka Jazzowa to najważniejsze wydarzenie jazzowe w Polsce – głoszą obiegowe opinie oraz plebiscyty. Po tegorocznym, 14. Festiwalu, nie mogę z pewnością tego stwierdzić. Nie można zaprzeczyć, że jest on wielkim świętem muzyki i muzyków jazzowych. Obserwuję go nie od dziś, ale po raz pierwszy przyszło mi go odwiedzić.

Okazało się, że świętujemy w galerii handlowej. W klubie „Klimat”. „Disco” wystrój, którego esencją była wisząca pod sufitem srebrna kula, nie współgrał z przestrzenią klimatów jazzowych. Galeria owa, jako miejsce współczesnej wszechkonsumpcji, „ugościła” także w swym holu młodych muzyków z Bielska-Białej i katowickiej Akademii Muzycznej, którzy faktycznie „stali się” muzakiem (jakim fajnym muzakiem!). Można się było przy nim zatrzymać przechodząc np. ze sklepu do wyjścia tej świątyni zakupów. Zaskoczenie było nierozzerwalną częścią bielskiej imprezy. Na szczęście, muzycznie częściej byłam zaskakiwana pozytywnie. Czasami trzeba było sobie odpowiadać na pytanie – gdzie jest ten jazz?

Na starcie Festiwalu stanął kwintet młodego skrzypka Adama Bałdycha, któremu sekundował amerykański perkusista Dana Hawkins. Miło było słyszeć, jak wspaniale Bałdych potrafił swój instrument zmienić w saksofon - co u skrzypków rzadkie. Wirtuozeria jest owszem ważna, w grze na skrzypkach wydaje się kluczowa, szczególnie w świecie muzyki poważnej, z której zostały stosunkowo nie tak dawno „zaadoptowane”. Ale najbardziej liczy się przekaz, a nie popis technicznej sprawności, ukończenie „biegu z przeszkodami”. Im bardziej muzykę naszpikuje się skomplikowanymi biegnikami czy sprowadzi do zakrawającej na bezmyślną „jazzę na piątym biegu”, tym na pewno szybciej nie zdobędzie się serca słuchacza. Nie uda się to również wtedy, gdy osnową dla solowego popisu będą zaledwie zgrabnie zakomponowane, kontrastujące wyrazowo „tematy”. A były to dwie naczelné ideé muzyki, którą zaprezentował Bałdych i na koncercie, i na płycie „The Magical Theater”, z której pochodziła większość wykonanych tego wieczoru utworów. Teatralność dało się odczuć. I to w znaczeniu raczej pewnej sztuczności. Na całym tym - wcale „niemagicznym” tle, zaistniała też reszta muzyków, którzy jako zespół nie dość, że pokazali się z dobrej strony, to jeszcze skutecznie podążali za energią swojego lidera.

W drugiej odsłownie natomiast przywitaliśmy legendę saksofonu – Archie'go Sheppa w towarzystwie Joachima Kühna. Ich koncert z kolei, przywoływał chwilami pamięć o impulsach wolności *avant-garde*. Dostaliśmy trochę bluesa przeplatane go ogromem wybuchowości i oryginalnością brzmienia, a z drugiej strony jednostajność w szarych barwach. Przekaz opierał się na napięciach - napięciach niewątpliwie chwilami fizycznie trudnych do przyjęcia. Ale stworzył się muzyczny świat, który nie mógł nie pozostawić słuchacza obojętnym. Mniejsze znaczenie miało już to, że kondycja Mistrza Sheppa (grał na tenorze) nie ta co przed laty i, że spod dłoni Kühna płynął niekiedy pseudowirtuozerski żar zahaczający czasem o tandetę. Próbkę tych wydarzeń można znaleźć na ostatniej płycie muzyków zatytułowanej „Wo!Man”. Uwadze recenzenta nie może umknąć fakt przyznania Sheppowi nagrody festiwalowej - statuetki Anioła Jazzowego, oraz także tak przesadnie monumentalnie skrojona na tę okazję laudacja - „dla [...] artysty ognia i gniewu, pasji i miłości, stróża tradycji [...]”. Tylko gdzieś w tle pobrzmiwało pytanie, z czym Shepp się lepiej rozumie - z *New Thing* czy tradycją?

Gwiazda kolejnego dnia festiwalu to artysta młody (ma dziś 29 lat), ale opromieniony już sukcesem w prestiżowym Thelonious Monk International Jazz Competition. Nie zawaham się stwierdzić, że nie tylko drugi dzień imprezy, ale reszta festiwalowych zdarzeń, pozostała w cieniu jego występu. Ambrose Akinmusire Quintet wystąpił po raz pierwszy w Polsce. Nagrał niedawno swoją drugą płytę, tym razem w Blue Note, „*When the Heart Emerges Glistening*”. To wprost zachwycające, jak świetnie Akinmusire potrafi włączyć tradycję w wymiar nowoczesności. Wieczór rozpoczął się utworem zatytułowanym *Confessions to My Unborn Daughter*, a moją uwagę skupiła szczególnie

emocjonalność muzyki tego trąbkarza i kompozytora. Co więcej, za zachwycającymi dźwiękami stały liczne, nie tylko z jazzem związane inspiracje - wśród nich zdarzenia z życia, ważne dla niego osoby, ale również „wielki dorobek muzyczny” - m.in. muzyka Chopina. Wspaniale było także i to, że współdzielący ze swym liderem scenę muzycy, nie odbiegali od niego ani poziomem, ani też świadomością, że to co grają, to nie tylko frazy i rytmy, ale to wszystko, co wnoszą do muzyki jako ludzie. Zadziwiło, jak lider kwintetu wraz z grającym na tenorze Walterem Smithem III, potrafią porozumieć się na scenie. Kilkanaście lat wspólnego improwizowania na pewno nie pozostało tu bez wpływu. Mogło się wydawać, że tylko niespiesznie i niezobowiązująco poszukują wspólnych dźwięków, naturalnie między sobą „dyskutują” - ale zgrani byli tak naprawdę jak talia kart. Zresztą Ambrose sam kiedyś wyznał, „to niesamowite - on jest jakby częścią mojego umysłu, a ja jego”. By wymienić zalety zespołu nie starczyłoby miejsca - Matt Brenner przy kontrabasie i perkusista Kendrick Scott byli jedyni w swoim rodzaju. Podobne zdanie mam o pianiście Samie Harrisie, który robił wycieczki w ciekawe rejony, a ich stylistyką, wydawali się być zaskoczeni nawet sami koledzy ze sceny. Na bis usłyszeliśmy z jednej strony sentymentalne, z drugiej szorstkim *fortissimo* wyrywające serce Ellingtonowskie *In a Sentimental Mood*.

Na finał tego wieczoru zaplanowano koncert Conchy Buiki. Już nie raz odwiedziła ona Polskę, więc mogło się wydawać, że zdarzenia na scenie dadzą się przewidzieć. A jednak nie do końca. Po pierwsze, przyjechała z bardzo nietypowym składem (którego nie zapowiadał drukowany program) - Scottem Kinsey'em, uznanym keyboardzistą ze świata *jazz fusion*, współautorem muzyki do filmów, np. *Ocean's Eleven*. Towarzyszył Ramón Suárez, grający na flamenco cajón; o dziwo, nie okazał się on specjalistą w grze na tym instrumencie. Po drugie, występ odbył się bez próby. Improwizacja jest kluczem do jazzu, więc można na to spojrzeć bez obawy, ale czy Buika śpiewa jazz? Nie śpiewa też flamenco, jak nieopatrznie mówił program. Trzeba stwierdzić, że muzykom nie udało się porozumieć, właściwie na żadnej muzycznej płaszczyźnie. Kto zna wielobarwną kulturowo, tchnącą południowym słońcem bujającą muzykę Buiki, z ogromnym trudem „odbierał” nachalne bity syntezatora i laptopa, tak przypadkowe, do bólu beznadziejne. Cajón bił swój jednostajny rytm. A Buika „biła się” z tą całą miłą muzyczną materią. Uwiarygodnienie wyrazu próbowała uzyskać nadmierną „krzykliwością” i wysoką temperaturą przekazu, przepelnioną emocjami „krwawiącego serca na dłoni”. Trzeba jej przyznać, że dobrze wykorzystuje swoje aktorskie talenty, ale też to, że wie, że szczerłość może wystarczyć i uratować ten „nietypowy” wieczór. I wystarczyła, nawet pozostawiając duże wrażenie - gdy na zakończenie zaśpiewała *solo*.

Nieodłączną, a też i bardzo ciekawą częścią bielskiego festiwalu jest konkurs dla młodych muzyków. Zazwyczaj na czele jury stawał w nim Jan „Ptaszyn” Wróblewski. Teraz jednak, gdy na miejscu była Maria Schneider, przewodnictwo swe oddał słynnej Amerykance. Z rekordowej, bo liczącej trzydzieści trzy zgłoszenia listy, wytypowano cztery zespoły. Szkoda, że jedynie tyle. Zaprezentowały się one na scenie Sali Koncertowej miejscowej PSM. Z rywalizacji zwycięsko wyszedł Interplay Jazz Duo – w składzie Kamil Urbański (fortepian) i Jędrzej Łaciak (gitara basowa). Żaden z nich to nie „zwierzę sceniczne”. Ułożone, introwertyczne granie, oddające hołd muzyce Billa Evansa, nie można powiedzieć, że nie było po prostu dobre. Porywał Fusion Generation Project z charyzmatycznym basistą Łukaszem Janem Józwiakiem i perkusistą Krzysztofem Kwiatkowskim (nagrody za indywidualność konkursu). Dariusz Dobroszczyk Trio, które zdobyło Specjalną Nagrodę Pieniężną Konkursu Festiwalu, dało popis jazzu doskonale wyważonego. Miło, że w konkursie znalazł się big-band - pod wodzą Mateusza Walacha. Jeden z saksofonistów grupy, który również skomponował wykonywany na konkursie utwór - Wojciech Lichtański, został wyróżniony za indywidualność. Wybór uczestników konkursu poprzez nadesłane przez nich nagrania, zawsze będzie pewną manipulacją – bo jazz jest zawsze wydarzeniem scenicznym - „tu i teraz”. Może dawać szanse na dostanie się do Konkursu większej ilości zespołów, np. przez wyłanianie ich w preselekcjach?

Tego samego dnia dostaliśmy koncert zespołu NoJazz. Znowu, niestety znowu - na Zadymce

wystąpili już w 2006 roku. Nie znam odpowiedzi na pytanie, dlaczego wrócili. Wydaje się, że przyjechali, by rozkręcić „niezłą imprezę” - tak swojską dla codzienności klubu „Klimat” „Happy shiny people” z ogromem energii, ubrani w kolorowe, pstrokate „obciachowe wdzianka”, pokazali swoją radosną definicję *Nu Jazzu*. Takie składowe ich „wykonu”, jak klubowa elektronika, saksofon, „nawijka” jakby hip-hopowa, sprzedały się na sali świetnie. Zespół ten, swój sukces mierzy w poziomie obciachu, zabawnej scenicznej aparycji i jakiejś zaskakującej „jazzowej paranoi”, według zasady „im więcej żartu, tym lepiej”. I tak, ta cała jarmarczna tandeta spowodowała, że musiałam opuścić salę. Zresztą, robili to i inni fani sztuki muzycznej. Potem słuchacze mogli „pobawić się” przy elektronicznych bitach Dj Balata.

Jubileusz, feta „dziękczynienia” i „geniusz-anioł jazzu” - takimi hasłami pokrótce można określić kolejny wieczór – galę w miejscowym Teatrze Polskim. Miałam wrażenie, że muzyka musiała aż przebijać się przez płynące ze sceny gąszcze laudacji oficjeli, poklepywań po plecach i słów podziękowań. Nagrodzono laureata konkursu – Interplay Jazz Duo, honory oddano jubileuszowi 45-lecia jazzu w Bielsku-Białej, ostatnią „oficjalną” częścią gali było złożenie na ręce Marii Schneider statuetki Anioła Jazzu.

I teraz pozostaniemy już tylko przy wydarzeniach muzycznych. Po Interplay Jazz Duo, który pokazał się z tak samo dobrej strony, co na konkursie, zagrał kwartet Andrzeja Zubka - w identycznym składzie, jak w pamiętnym roku 1967. Wtedy to, za jego sprawą, pierwszy raz w Bielsku-Białej zabrzmiał jazz. Zespół ten święcił potem sukcesy na Jazzie Nad Odrą, kariery muzyków potoczyły się wartkim nurtem. Dziś, wpisują się oni na karty historii jako jazzmani wielkiego formatu, zasłużeni dla polskiego jazzu. Na scenie stanęli więc: Bronisław Suchanek (kontrabas), Bogusław Skawina (trąbka), Kazimierz Jonkisz (perkusja) oraz Andrzej Zubek, który zagrał na saksofonie. Dziś lepiej znamy Zubka jako kompozytora, pedagoga, wychowawcę pokoleń polskich jazzmanów, prowadzącego big-band Akademii Muzycznej w Katowicach. I nie dał nam o tym zapomnieć – miłym zaskoczeniem było wkroczenie na scenę, w trakcie jednego z finałnych utworów, big-bandu, składającego się z wychowanków Profesora. Radosne i żywiołowe granie z dozą sentymentu, nie pozostawiło słuchaczy nieusatisfakcjonowanych. Trzeba zaznaczyć, że koncerty jubileuszowe mają to sobie, że nie wymagają recenzji. Bo zawsze są przyjemnym wydarzeniem.

Zakończenie wieczoru należało do wielkiej gwiazdy bandleaderingu – Marii Schneider. Niewątpliwie, udowodniła ona, że jest jednym z najlepszych kompozytorów w świecie muzyki jazzowej. Na pierwszy rzut oka, to drobna blondynka, a tak naprawdę tytan pracy, autorytet ujarzmiający męskie hordy big-bandu (bo bądźmy szczerzy i powiedzmy, że statystycznie kobiet w tego typu zespołach jak na lekarstwo). Spostrzegawczy organizatorzy na pewno zauważyli, że w swej fizyczności, ale też w muzyce, ma coś z „anielskości” i wręczając jej festiwalowe wyróżnienie, ogłosili ją Aniołem Jazzu.

Po prawdzie, Schneider nie miała wiele czasu na pracę z festiwalowym big-bandem, ale zupełnie nie dało się tego słyszeć. Składał się on ze studentów, absolwentów i wykładowców „jazzówki” Akademii Muzycznej w Katowicach i przyjął nazwę Silesian Jazz Orchestra. Próby do koncertu były otwarte dla słuchaczy, co stanowiło dodatkową atrakcję Festiwalu. Zabrzmiały m.in. *Concert in a garden, Last season, Gumba blue, Journey home*...wiele pięknych emocji, można było się rozmarzyć. Nawet sama Schneider dała się im ponieść - nie kryła wzruszenia przy opowiadaniu o swoich inspiracjach przy tworzeniu jednej z wykonywanych kompozycji. Co więcej, można było się zaskoczyć poziomem naszych muzyków. Solówki np. trębacza Jerzego Małka, puzonisty Jacka Namysłowskiego, Jerzego Główczewskiego na saksofonie sopranowym, godne były podziwu i miary wydarzenia. Aż dziw - bo na całonocnych *jam sessions* - i ich okolicach - muzycy nie próżnowali...

Popołudnie finału Zadymki, w pewnym stopniu też było podróżą sentymentalną. Jan „Ptaszyn”

Wróblewski ze swoim sekstetem wykonał pogram „Moi pierwsi mistrzowie: Komeda, Trzaskowski, Kurylewicz”. Jak zwykle nie zabrakło niezwykłych opowieści i anegdot z dozą humoru, które Ptaszyn jak nikt inny potrafi snuć przy konferansjerce. A do tego grania było przednie! Wystąpili: Wojciech Niedziela przy fortepianie, na trąbce zagrał Robert Majewski, na saksofonie Henryk Miśkiewicz, a kontrabasie Sławomir Kurkiewicz, a przy perkusji zasiadł Marcin Jahr. Choć na program składały się kompozycje historyczne, to wcale nie załatywały naftaliną. Czasami zyskiwały one zupełnie nowe oblicze, jak *Szara kolęda* Komedy (zagrana w nieoryginalnym metrum i zmienioną melodią), jego *Kołysanka* z filmu *Dwaj ludzie z szafą* czy *Ten plus eight* Kurylewicza. Wartością samą w sobie była możliwość usłyszenia utworów zagranych „właśnie tak jak się kiedyś grało”, jak powiedział Ptaszyn – np. *Vision* Trzaskowskiego.

Koncert finałowy Festiwalu, na który zaproszono ZumbaLand, dla mnie okazał się stratą czasu. Upchane do granic możliwości schronisko na Szyndzielni oferowało tylko zgiełk i alkohol z przekąskami. Jazzu nie było. Szkoda. Ktoś przetłumaczył kiedyś słowo „jazz” jako „zgiełk”. Coś w tym jest, coś określającego tegoroczny Festiwal. Zamęt stylistyczny, nieporozumienia programowe, problemy z odnalezieniem się w przestrzeniach, a z drugiej strony tłumy jazz-fanów, obecność muzyków z najwyższej półki, wrzawa wokół jazzu – takie festiwalowe obrazki przedstawiają mi się przed oczami. Co więcej, wiele koncertów prowokowało pytania o granice jazzu. Jego nieobecność w wielu momentach Zadymki – szanowanego Festiwalu, bodaj „najlepszego w Polsce”, budziło wielkie zaskoczenie. A może jest może tak, jak powiedział kiedyś Shepp - „this is jazz – you never know”. Albo można zapytać: this is Bielska Zadymka Jazzowa– you never know?

Marta Januszkiewicz